Tom I. Nr. 16.

1. Grudnia 1859.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Paproć.

(Powiastka starego Bartosza.)

Praca to, miłe chłopcy, praca do wszelakiego dobra prowadzi; milszy to po niej spoczynek, i kęs chleba lepiej smakuje. Ba! nawet i ten grosz, coś go w pocie czoła zarobił, stokroć wart więcej, aniżeli znajdźba jaka albo darowizna. A kiedy człek tylko za czemsi goni a chleba nie patrzy, kiedyby jeno chciał, aby mu pieczone gołąbki wleciały same do gąbki, to się i nie wiedzie takiemu człekowi, bo tam błogosławieństwa Bożego nie ma. Praca, miłe chłopcy, choćby i najgrubsza, nikogo nie krzywdzi, a raczej chlubę przynosi. I takie było owo w Gromolinie zdarzenie, gdziem się rodził — patrzyłemci się na to własnemi oczami. A jest w tem nauka i przestroga Boża.

Był tam, oj, młody gospodarz, Franek Świgoń, co po swoich ojcach odebrał kawał ziemi, śliczności, i chałupkę nieszkodną, stodółkę nową, a dobytku aż się serce radowało, patrząc. Ale Franek, co mu to w głowie świtało, bo lubił sobie pohulać i

do pracy się lenił, to i rola Boża nie wydawała swojego, a bydełko — żal się mocny Boże! — ani już podobne było do siebie. Baczył więcej o sobie, bo przyodziewku takiego jak Franek, nie miał żaden we wsi całej, a nawet i okolicznie, parobczak. Mówilić wszyscy: niechby się jeno ożenił, to i bardziej o swojem pamiętać będzie i lepszego statku nabierze. Ale ba! właśnie wraz: pojął-ci on Zośkę z Korytkowa, dziewuchę młodą i raźną, gdyby jaka jagoda, a wszelako wszystko dawnym szło nałogiem. Zośka była sobie potulna, nikomu w drogę nie zalazła, i w niczem też nie przekroczyła Frankowi. Że zaś u rodziców swoich nie zaznała co to niedostatek, a rodzice ją miłowali i niejednemu dogodzili żądaniu, — więc i ona czyste szmaty, korale, wstęgi i raźne chustki lubiła — jak zwyczajnie młoda niewiasta! — Prawdą a Bogiem, toć krzątała się jak mogła, po domu; bydełko poczęło trochę lepiej wyglądać, ale co w roli, jak się nie wiodło, tak się i nie wiodło; kłosek jeden od drugiego sterczał gdyby włosy na łysej głowie, a chwastu wszędzie jakby nasiał. Franek ani myślał o poprawie, jeno mu się zawsze jakieś tam bogactwa roiły, co to miały bez zachodu i pracy niby spaść z gradem.

Jednego razu zatrzymał się w karczmie na noc jakiś wędrowny czeladnik, znać frant sobie albo ladaco, co drugich szołomił bajkami, istnie jakby wędkę zarzucał na głupich. I ten *obleciświat* napowiadał różne dziwy o kwieciu paproci: jako paproć w nocy świętego Jana nagle rozkwita prześliczności kwiatem, jakby z dyamentów, a kto podoła go zerwać, to o wszelakich dowie się skarbach, co jeno w ziemi są przechowane. Otóż i była woda na Frankowe mlewo! Jemu by się to nadało, jaką skrzynię z pieniądzmi wykopać. Nuż więc przysiadywać się do owego włóczęgi, i wypytywać się, a potem go uczęstował, czem tylko mógł, że nareszcie sam się opoił, gdyby cztery dziewki. Frant ów nagadał mu niestworzone rzeczy, a Franek słuchał jak najlepszego kazania i wszystko dobrze spamiętał — i od tej pory już tylko paproć w głowie mu była. Ladaco powiedział mu: że potrzeba mieć przy sobie święcone ziele i święconą kredę; że idąc do lasu po ten kwiat około północka — bo paproć o samej północy kwitnie — nie trzeba się oglądać

wcale, chociażby za człekiem niewiedzieć jakie było wołanie, a zwłaszcza też nie ulęknąć się strachu żadnego.

Tak nadeszła wilia do świętego Jana. Ale czy to z bojaźni, czyli też Bóg wie dla czego, Franek żonę namówił, by po ten kwiat poszła.

— Ja będę tuż za tobą — powiedział jej — toćże nic złego nie stanie się tobie.

Zośka dała się namówić, bo męża miłowała i była posłuszną, osobliwie gdy jej zaczął przekładać, jakie to będą mieli bogactwa i jakie dostatki wszystkiego. Kiedy więc już noc zapadła, poszli oboje ku lasowi; Zośka szła naprzód a Franek za nią. Biedne kobiecisko głośno odmawiała pacierze i polecała się Bogu i Matce najświętszej. Franek ukląkł pod Bożą męką, co tam stała przy rozstajnych drogach, a Zośka drząca gdyby listek osiny, poszła paproci poszukać. Franek modli się i modli, ale go aż ciarki przechodzą ze strachu o żonę; boć ją miłował, i teraz po niewczasie dopiero począł się o nią turbować nie na żarty i wyrzucać sobie, że niebogę za taką niegodziwą wysłał sprawą. Nadstawia ucha i zdaje mu się, że z daleka słyszy krzyk jakiś. Włosy stanęły mu dębem na głowie — lecz przeżegnał się i dalej za Zośką. Po chwili przystanął i słucha znowu — noc była cichuśka, że i listek nie zaszeleścił. W tem słyszy śpiewanie — istnie głos Zośki — i jakoś lżej odetchnął. Potem znowu dolatywał go śmiech jej niby; jużcić się śmiała, jeno tak krzykliwie, niby nie po ludzku, że aż go mrowie przechodziło. Franek począł odmawiać jeden paciorek po drugim, jedną zdrowaśkę za drugą — a pot kipiał mu z czoła. Znowu słyszy śpiewanie — i już dłużej wytrwać nie mógł. Pobiegł co-bądź to-bądź Zośki odszukać — już też i świtać poczęło. Szuka, woła — wszędzie cichusienko; jeno puszczyk na suchem drzewie żałośliwie skrzeczał.

— Zosiu! Zosiu! ozwiej-że się! Zosiu jedyna, ozwiej się! — wołał Franek, a na sercu mu tłoczyło, gdyby młyński kamień.

— Zosiu! Zosiu! gdzieżeś ty? — wołał coraz głośniej, i biegał tam i sam, na wszystkie strony.

Aż tu na raz jeden zaśpiewało bliziuchno. Wrzasnęło znowu jakoś dziko, wcale nie po ludzku — i rzechotać się okrutnie poczęło. Franek ogląda się na wpół martwy. Chryste Jezu!... Ot

warkocz Zośki zawiesił się u gałęzi, a ona wyglądała gdyby trup; oczy wylazły jej na wierzch, śmiała się i śpiewała — to znowu krzyknęła, jakby ze strachu wielkiego, a Franka nie poznała. Nieboga oszalała — a to nie inaczej, jeno kiedy jej włosy zawiesiły się, to ona pewnie myślała, że ją złe pochwyciło — i biedne kobiecisko strach rozumu pozbawił.

Przyprowadziłci ją Franek do domu — aleć już po niej było. Bo chociaż pożyła jeszcze lat kilkanaście, to wszelako już jej zmysły nie wróciły. Franek się zmartwił okrótnie i na cały swój żywot miał nieszczęśliwą i gorzko opłakaną naukę. Wyraźny w tem był palec Boży. Przez lenistwo i zamiłowanie wygód rzucił się na drogę pokusy — a poczciwą zaniechał pracę. To i błogosławieństwa Bożego nie było.

Paulina z L. Wilkońska.

DWA DĘBY.

Nad modrym stawem dwa dęby stały,
A bardzo dawne, bo po sto lat miały.
Raz przy miesiącu, nad cichą wodą,
Dąbek staruszek potrząsnął brodą
I z drugim dębem rozmowę wiedzie:
— „Co z Ciebie będzie miły sąsiedzie?
Ze mnie kołyskę dla dziecka zrobią,
Sianem wyścielą, liściem ozdobią —
Będę kołysał małe dzieciątko,
Albo chłopaka, albo dziewczątko.“ —

— „A ze mnie, drugi dąbek odpowie,
Żłobek dla koni zrobią majstrowie,
Nademną dużo zawieszą siana,
Przy mnie stać będzie konik ułana.“

A pierwszy na to: „Bądź sobie żłobem;
Ja będę dzidą z żelaznym dziobem.“

— „Mój miły bracie; nie mów tak szumno;
Ty będziesz dzidą, ja będę trumną.

Pięć desek zbiją na wieczne spanie,
Któż tedy z człekiem dłużej zostanie?"

A pierwszy na to: — „Bądź trumną sobie;
Ja będę czarnym krzyżem na grobie.
A na nim napis będzie wyryty:
„Tu leży wojak w bitwie zabity."

T. L.

Kazimierz Mnich.

Powiadają, że *niedaleko jabłko odtoczy się od jabłoni* — ale niekoniecznie to i prawda. Ot i ten Kazimierz co go nazywamy Mnichem — byłci on rodzoniuteńkim synem niedobrej Ryxy. To i myślałby kto, że taki *nicpotem* będzie jak i jego matula?.... Gdzie tam!... *Urodziłać sowa sokoła* tą razą, na dziw całemu światu...

Narzekała Polska na Ryxę królowę — i sprawiedliwie! bo w niej uznawała nie matkę ale srogą macochę, krzywdzicielkę swoją, co się gdzie jeno mogła, zdziwiała nad biednym narodem i źle mu czyniła. Ale o Kazimierzu zawsze dobrze mówiono, bo chociaż to był jeszcze chłopiec nieletni, a już bywało nieraz za pokrzywdzonym się ujmuje i nie jednego ubezpieczy przed matką, aby mu się nic złego nie stało.

Narzekała Polska na Ryxę królowę — i znowu sprawiedliwie! bo kiedy przyszła bieda na Polskę — za co kiedyś przed Bogiem ciężko odpowiadać będzie właśnie ona królowa — to żeby choć była pożałowała jak się godziło!... a ona nic, jeno patrzyła gdzieby tu się jeszcze co urwać dało i spakowawszy co żywo swoje i nieswoje, pognała za dziesiątą górę, i ani się nawet nie obejrzała za tą biedną Polską. Ale za Kazimierzem wszyscy żałowali, bo widzieli dobrze, jak przykro mu było z kraju uchodzić, i jak często oglądał się poza siebie, niby to dziecko za matką tęskniące.

Toć kiedy już przybyli na miejsce, do onego kraju gdzie się rodziła królowa Ryxa i jej cała rodzina, i już tam w jednym zamku zamieszkali na stałe — to matula gdyby nigdy nic, hula sobie po dawnemu, a zaś Kazimierz jak ta wierzba, co się pochyla ku wodzie, taki zawsze smutny był i zadumany.

Zrazu jeszcze nie bardzo na to zważała matka, bo myślała sobie: Ot, jakoś to przejdzie. Dalej, kiedyć nie ustawało, radziła się przeróżnych doktorów, by mu co na ten smutek pomogli. Ale i to na nic się nie zdało. Więc połowę złota ze skarbca swego ofiarowała na mszy świętę, ta żeby się pan Bóg ulitował nad jej dzieckiem i wesołem go uczynił. Ale znać taka była Boska wola, aby syn pozostał w smutku, a matka dzieckiem niepocieszona była za grzechy swoje. Już bo nareszcie sama nie wie co począć?... Gdybyż choć raz weselszą twarz jej pokazał, choć jeden raz! a tu nie, i nie — już prawie zapomniała jak się dziecko uśmiecha. Toć straszno dla matki, choćby i dla takiej Ryxy!...

Takci się tam działo przez niejaki czas. Aż tu razu jednego, szukają Kazimierza — nie ma go. Gdzie! dla Boga! Królowa w lament — przerzucili cały zamek do góry nogami, przepatrzyli najmniejszy kącik w zamku i do koła zamku, zbiegli całą okolicę, wypytali wszystkich ludzi od najmłodszego do najstarszego, czy go kto nie widział... nadaremnie! gdzieś przepadł jak kamień w wodę. Dopiero w kilka dni potem królowa, włócząc się jak mara nocna po całym zamku — bo sobie z wielkiej żałości nigdzie spokoju znaleść nie mogła — przyszła też przypadkiem do małej izdebki, gdzie jej syn najczęściej przybywać lubiał. W pośrodku ustawiony był stolik nieduży... patrzy jakiś tam papier leży niby liścik, którego w pierwszym pospiechu nie zauważano. Więc bierze go do rąk... aż tu pokazuje się, że to pismo do niej od syna. I stało tam tak napisane: „Kto przyprowadził Polskę, moją ojczyznę na taką biedę?... moja matka! — Przez kogo mój biedny ojciec Mieczysław tak srogą niewolę znosi u Czechów?... przez moją matkę!... Tak powiadają ludzie — i za to ja taki smutny był, i już mi za życia nie zaznać wesołości. Idę do klasztoru na pokutę za matkę, aby jej Bóg tego wszystkiego nie popamiętał. Boże! bądź miłościw.“

I otóż z takowej przyczyny został nasz królewicz Kazimierz *Mnichem*.

Tymczasem w Polsce po śmierci Mieczysława II — to już wiecie, jak się to tam niedobrze działo. Dla tego dziś wam tego wszystkiego i powtarzać nie będziemy. Dość na tem, że choć jak źle było, i bardzo wielu już zgoła straciło nadzieję, żeby miało być lepiej — to taki nie wszyscy jeszcze!... owszem znalazła się garstka walecznych i prawych mężów, którzy gwałtem przemyśliwali nad tem, jakby to ojczyznę ratować. Więc rada w radę między sobą — i uradzili, ażeby koniecznie wyszukać Kazimierza, któremu wszyscy z duszy serca byli radzi, i wywołać go królem. Boskie to było zrządzenie, abyć *złe*, które nam Ryxa wyrządziła, jej syn Kazimierz naprawił.

Tedy jednego dnia na zamku królowej Ryxy pojawili się panowie z Polski. Zapytano ich: za czem przychodzą? — Odpowiedzieli że po Kazimierza przychodzą w poselstwie, bo go sobie Polacy za króla obrali. A królowa smutno pochyliła się i rzekła: — Szkoda czasu i waszego trudu — mój syn królem polskim nie będzie! — Dla czego? pytają posłowie. Królowa jeszcze bardziej posmutniała i długo żadnego słowa wypowiedzieć nie umiała. Zaledwo po dobrej chwili zdobyła się na odpowiedź: — Jużci przepadło wszystko, panowie posłowie! Kazimierz, mój syn, panu Bogu ślubował i został mnichem. Skoroć to posłyszeli, ten i ów opuścił głowę na piersi i załamał ręce, a w duchu pomyślał sobie: — Nic z tego, kiedy Kazimierz mnichem został. Jeden tylko stary wojewoda między nimi nie stracił głowy. I zapytał królowę: w którym klasztorze jej syn Bogu ślubował? — Otóż to właśnie, odpowiedziała królowa, że sama nie wiem doskonale; ale podobno ma się on znajdować w *Kluniackim* klasztorze u OO. Benedyktynów, a to jest aże w kraju francuzkim. Przynajmniej tak powiadają ludzie, bo on mi sam o tem nie napisał.

Więc posłowie pokłonili się królowej i czemprędzej wybrali się w drogę do onego klasztoru za przewodnictwem sędziwego wojewody. A że droga była daleka, to i sporo potrzeba było czasu, zanim stanęli w onem miejscu, gdzie im królowa

niby na domysł wskazała. Gościnnie otworzono im bramę klasztorną -- ale kiedy zapytali: ażali nie tu przebywa Kazimierz królewicz? — przełożony klasztoru jeno pokiwał głową i nic im na to nie odpowiedział.

Co go się nie naprosili posłowie! nie i nie. — Więc znowu ten i ów opuścił głowę na piersi i załamał ręce, a w duchu pomyślał sobie: Już teraz nic z tego nie będzie, kiedy nawet dowiedzieć się nie mogą, gdzie Kazimierz przebywa. Jeden tylko stary wojewoda i tą razą głowy nie stracił, ale przemyśliwać począł, jakby tu prawdy dociec: czy w tym klasztorze znajduje się królewicz albo nie. Tak nareszcie nic nikomu nie mówi, jeno poprosił przełożonego, żeby im przez noc pozwolił zabawić w klasztorze. Trudnoć było obcym odmówić gościny — więc pozostali. Ledwo co słonko zapadło, w klasztorze dzwonią na wieczerzę. Według zwyczaju zebrali się wszyscy zakonnicy pospołu w jednej wielkiej izbie na skromny posiłek. Byli tam i nasi posłowie. Podczas kiedy drudzy zajęci byli jedzeniem, sędziwy wojewoda mało co tknie z jadła, a jeno ciągle poziera po mnichach, i każdego z osobna pilnem uważa okiem. Ale znać nie na wiele mu się to przydało, bo w końcu spochmurniał i jakoś się zadumał. Dopiero się ocknął, gdy już wszyscy powstawali od stołu i wzięli dziękować panu Bogu za pożywienie. Po modlitwie żywo podsunął się wojewoda do przełożonego, prosząc go jako o wielką łaskę, ażeby mu dozwolił przed całem zgromadzeniem opowiedzieć króciuchną historję o tem, co się w tych czasach podziało w Polsce. A skoro przełożony nic nie miał przeciwko temu, owszem sam był ciekawy posłuchać co się tam robi po świecie i innym zakonnikom toż samo nakazał w izbie pozostać — wtedy wojewoda zabrał się do opowiadania. A zaczął on powieść swoją od tej chwili, kiedy po śmierci niegodnego Bezprema, król Mieczysław powrócił do Polski. Więc powiadał jak srodze się był król odmienił w owej czeskiej niewoli, że go już prawie nikt odpoznać nie mógł — jak podupadł na duchu i na ciele, jak na tem cały kraj cierpiał, jak się tam wszystko psuło i niszczało, a wrogi się z tego cieszyli, aż król nieborak z umartwienia, żeć już złemu zaradzić nie może, obłąkał się i niebawem też umarł. I opowiadał

potem wszystkie te brewerje: co się tam nie nadokazywali Czechy i inne nieprzyjaźne Polsce narody! że dzisiaj z ich łaski cały kraj wygląda jak jaka pustynia; popalone wsie i miasta, nie znajdziesz tam dachu całego, gdziebyś się mógł ochronić przed burzą, nie masz kościoła jednego, gdzieby ci się wolno było pomodlić do pana Boga o ratunek... wszystko zwalone i poniszczone, a lud częścią zabrany w srogą niewolę, a inny, co ocalał, błąka się jak ta biedna sierota po pustych polach i lasach.

Tak opowiadał on stary wojewoda. Na izbie cicho było jak makiem zasiał. Wtem nagle coś tam zajęczało, niby płacz rzewny z czyjejś piersi gwałtem się dobywał. Wojewoda jakby go co tknęło, tak zaraz urwał mowę i żywem okiem przemknął po całem zgromadzeniu. Tam w gronie mnichów stał jeden z odwróconą teraz twarzą ku oknu. Widocznie był on mocno wzruszony, oboje ręce położył na licu i zaniósł się tak wielkim płaczem, że aże nim całym zatrzęsło. Dopieroż to wojewoda poskoczy ku niemu wprost, i rzucił mu się plackiem do nóg wołając: — Kazimierzu królewiczu nasz! otom cię odpoznał po tym płaczu!

A stało się to tak nagle, tak niespodzianie, aż się wszyscy pozapominali z podziwu. Przełożony, mnichy, posłowie polscy.... każdy stał w swojem miejscu, gdybyś go w ziemię wrył, milczący, nieruchomy, dziwnym wzrokiem poglądając ku tej stronie, gdzie był ów mnich wielkim uniesiony płaczem, a u nóg jego klęczący on starzec siwy jak gołąbek. A prawił ci on dalej:

— Wybacz miłościwy panie! użyłem podstępu, by między obcymi rozpoznać królewicza naszego, którego zaledwie drobnem zapamiętaliśmy chłopięciem. Toć na próżno błagaliśmy, iżby nam ciebie wyjawiono — a tu się cała Polska upomina o Kazimierza swego, ta żeby ją z ciężkiej podźwignął niedoli, i zatem nas wyprawiono w poselstwie. Więc myślę sobie w duchu: dopomóż mi panie Boże! a może on się nam sam odkryje. Opowiem historję o królu Mieczysławie, przedłożę całe nieszczęście nasze.. to jeśli tu jest nasz Kazimierz, serdecznie on pożałuje ojca swego i Polskę — i potem ci go rozpoznam między obcymi.

Dopieroż teraz i drugim posłom wyjaśniło się w głowie. Więc jako byli, tak wszyscy całą gromadą rzucili się do nóg płaczącego mnicha, wołając: Kazimierzu, królu nasz!

A mnich jak gdyby mu mowę odjęło, tak ani słowa — jeno sobie ręce teraz odjął z twarzy, a twarz była blada gdyby chusta, a oczy aże czerwone od płaczu!

— Kazimierzu, miłościwy panie nasz! błagał znowu wojewoda — matka twoja zgubiła naszą Polskę, a ty ją poratuj.

— Poratuj! jednym głosem powtórzyli posłowie, wznosząc ręce ku niemu, gdyby w modlitwie.

W tej chwili zbliżył się przełożony klasztoru i ujął mnicha Kazimierza za rękę, a do posłów odezwał się w te słowa: Poco przyszliście tu, goście z dalekiego kraju, mieszać spokój naszego brata Kazimierza?... Alboż-to na nim nie widzicie zakonnej sukni? Kto się raz w nią przyobleczе, jużci dla niego marnością są wszystkie szaty królewskie i honory tego świata. Toż powstańcie na nogi i idźcie z Bogiem, goście z dalekiego kraju, albowiem na nic się nie zdadzą wasze pokusy. Brat Kazimierz żegna was!... To mówiąc, przełożony chwycił go pod ramię i powiódł ze sobą. Za nimi reszta mnichów powolnym ruszyła krokiem. Posłowie powstali ze ziemi i smutnem okiem pozierali za oddalającym się królewiczem. Ode drzwi raz jeszcze Kazimierz obrócił się ku nim — było to żałosne pożegnanie. Niebawem w izbie sami już tylko pozostali posłowie. Starego wojewodę otoczyli kołem, a on stał z głową smutnie pochyloną i z załamanemi rękoma przed siebie, ciężko dumając. — Cóż teraz począć? duma każdy — trudna tu rada! chyba nasz wojewoda co wymyśli, bo u niego głowa nielada.

Aż po dobrej chwili odezwie się starzec: — Ha, w imię Boże! chodźmy, panowie bracia.

— A gdzie? zapytali tamci ciekawie.

— Do Rzymu! powiada, i jakaś dziwna radość wybłysła mu z oka. Jeszcze nadzieja nie stracona!... Pójdziemy do Rzymu i do Ojca świętego, przedłożymy mu pokornie prośbę naszą. — On jeden mocen jest rozwiązać te śluby i wydać nam Kazimierza na króla.

— A więc co żywo, do Rzymu! zakrzyknęli wszyscy, i wielce uradowani tą nadzieją, nie czekając aż rozednieje, jeszcze tej samej nocy opuścili klasztor, i wybrali się w podróż. Szczęśliważ im droga!...

Jak się im tam w Rzymie powiodło, i czy Kazimierz Mnich został królem polskim albo nie — to wam w następnym numerze dopowiemy.

Piękny przykład.

Józef Wcisło, wójt z Borusowej.

(Dokończenie.)

— *Z Bogiem poczynaj sobie w każdej sprawie, jeśli chcesz aby ci pomyślnie poszła* — tak nas uczy wiara święta. Według tego postąpił sobie i nasz wójt nowy z Borusowej. Nazajutrz rychło świt, zwołał czeladkę swoją do rannej modlitwy, a potem rzekł do żony: Pójdziemy dziś oboje do kościoła, i aby nam pan Bóg użyczył rozumu do naszego urzędu, trzeba się naprzód pozbyć tego, co go często odbiera. Będzie to jakoś składniej, kiedy się oboje wyspowiadamy i zapiszemy do bractwa wstrzemięźliwości.

Jak powiedział tak się też i stało. — Dzięki Bogu, prawi Józef, powróciwszy do domu — więcej tu już za mego życia wódka nie postoi. — Święcie też dotrzymuje przysięgi, i dziś już prawie zapomniał Józef Wcisło jak wódka smakuje; ale za to u niego rozum w głowie zawsze rześki i z każdym dniem właśnie mu go przybywa, czego świadkiem wieś Borusowa, która tak niepodobna do dawnej Borusowej, jak nieprzymierzając niebo do ziemi — chociaż to dopiero drugi rok jak Wcisło wójtuje. Pierwszem jego staraniem było, aby pijaństwo ze wsi wykurzyć na cztery wiatry. Z tąd lepszych prośbami, radą i namową skłonił do trzeźwości, zapamiętałych zaś groźbą a nareszcie zawstydzeniem przed całą gromadą odzwyczaił od karczmy. Józefowi wójtowi niedziwna rzecz z latarką pod sukmaną, i z kilkoma sąsiadami po kilka razy na noc zajrzeć do karczmy na przekonanie, czy się tam jaki pijak nie zawadził — bo wójt

powtarza często w gromadzie, że karczma jest tylko dla podróżnych a nie dla miejscowych. Gromada nie odbywa się według dawnego zwyczaju w karczmie ale u wójta. Weseliska, chrzciny i pogrzeby nie kończą się po dawnemu u żyda na arędzie, ale w domu, a na poczesne gości służy dobre i zdrowe *Siedliszowskie* piwo. Żyd toż jak słychać tem tylko żyje, co dawniej zarobił, a podobno i niezadługo się wyprowadzi do Dąbrowy lub Żabna, nie widząc tu już żadnego zysku dla siebie. Wiadomo, *że gdzie żyd traci, tam się chłop bogaci* — widać to i w Borusowej, gdzie gospodarze coraz to się już lepiej mają.

Chociaż w tych stronach bardzo ciężko o drzewo, przecie co lata ten i ów walą swoje chałupy, a natomiast stawiają nowe porządne domostwa, z kominami i z podłogą, czego dawniej ani byś tam uświadczył. A skoro niedziela albo jakie święto przypadnie, i ruszą się Borusowianie całą gromadą w procesyi do Gręboszowa na nabożeństwo, to aż miło popatrzyć, tak tam jeden w drugiego czysto, strojno i wesoło wygląda. A wszystko to poszło za dobrym przykładem wójta. Chociażby pioruny trzaskały, Józef Weisło musi być każdej niedzieli i każdego święta w kościele parafialnym na prymaryi i na sumie, a często gęsto i na nieszporach zostaje. Co niedzielę zawita do plebana, opowiada co zaszło we wsi, poradzi się w różnych wypadkach, albo zdaje sprawę z poleceń jak je wykonał. Takoż często bierze książki do czytania, albo przeczytane oddaje. Ba, niedość na tem, że książki czytuje, ale nawet i niejedną już sobie książkę pożyteczną kupił; i ma takich książek nie mało u siebie, z których albo sam gromadzie czyta, albo co przeczytał opowiada. Między innemi trzyma on i wasz Dzwonek. Za jego to staraniem głównie utrzymuje się szkółka w Borusowej, do której z początkiem października dzieci się gromadzą, a w połowie lipca dopiero rozchodzą na wakacje. Gdy ksiądz przybywa na katechizm do Borusowej, zastaje u wójta zgromadzoną dziatwę z rodzicami. Wtedy wójt odczytuje naprzód dzieci po imieniu, co mają nauki słuchać; a biada każdemu, coby się nie stawiło w tym czasie, chyba że choroba albo jaka inna przyczyna stała temu na przeszkodzie. Prawie co rok prowadzi on

gromadę na odpust do Kalwarji tam i napowrót, zkąd zwykle przyniesie jakiś podarunek do kościoła parafialnego — i tak: dwie lampy mosiężne, dwa obrazy i dwie chorągiewki ma już kościół w Gręboszowie jako pamiątki od Borusowian z odpustu w Kalwarji.

Prześladowany od złych ludzi dla swej gorliwości o dobro powierzonej mu gromady i dla swej pobożności, Józef Weisło tem się pociesza, co Pan Jezus powiedział: „*Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie.*“ Za pracę i poświęcenie się dla gromady, ma też Józef największą nagrodę, bo sumienie czyste i spokojne przed Bogiem. Widzi, jak niejeden grzesznik przez niego nawrócony szczęśliwie żyje, jak Borusowianie coraz bardziej w dobrych uczynkach postępują — toć go to pociesza, i choć to złe języki przeciwko niemu wojują, nic on sobie z tego nie robi, bo jako rozumny człek zawsze ma oną przypowiastkę na myśli: „*Jeszcze się ten nie narodził, któryby wszystkim dogodził*“ — Alboż i mała to była nagroda, coć go spotkała tego roku podczas wizyty JW. księdza Biskupa!... Ksiądz proboszcz go przedstawił i pochwalił, za co od JW. księdza Biskupa otrzymał do dalszej posługi w gromadzie pasterskie błogosławieństwo i na pamiątkę koronkę z samej Jerozolimy, sprawioną z owoców drzew oliwnych, pod któremi niegdyś Pan Jezus się modlił.

Tak to często już tu na ziemi nagrodzonym bywa człek rzetelny, co żyje według Boskich przykazań. A jakie nagrody czekają go w przyszłem życiu, o tem powiedziano w piśmie świętem: „Kto obficiej sieje, obficiej też żąć będzie.“

Ja zaś widząc, ile dobrego zrobił Józef Weisło wójt z Borusowej i dotąd jeszcze robi dla swojej gromady, życzę, aby i wszystkie inne wsie Bóg podobnymi obdarzył wójtami.

Pisałem w Gręboszowie 29. Października 1859.

Pleban z Gręboszowa.

RÓŻNOŚCI.

Dobra nauczka. Będzie temu może dwa miesiące, kiedy w jednej wsi pod Przemyślem wydarzyła się taka historja. Jest tam fornal we dworze, podobno mu Szymek na imię, i drugi Ilko, chłopiec do posługi. Obaj niezgorsze chłopaki — bo co prawda to prawda — ale takie to nierozgarnione i nierozważne jeden i drugi, że niech ręka Boska broni!... Szymek sprawił sobie bóty na pasach, a to nie żarty — kosztowały też nieboraka piękny grosz. W tym samym czasie i mały Ilko dostał parę bótów nowiusieńskich na zimę. Szymkowi aże się oczy zaśmiały z radości, kiedyć się w swoje bóty ustroił, a te mu tak szykownie pasowały do nogi jak kiedyby ulał — więc na ochotę wytnie sobie jednego i drugiego hołupca, a myśli: „Dopieroż mi się w takich bótach będzie tańczyć aż miło!“ — Ilko znowu skoro przywdział swoje nowiusieńkie bóty, to mówię wam, że już sam nie wiedział jak ma chodzić z wielkiej uciechy — więc co krok to stanie i przypatrzy im się, a obmaca cholewy, a chwyta za obcasy, aż nareszcie głowę zadrze do góry i przejdzie się tam i na powrót po dworskim dziedzińcu, myśląc sobie: „Teraz ja pan, kiedy mam już bóty na zimę.“

I było tej całej uciechy aż do nocy. Po wieczerzy idzie Szymek do stajni na spanie. Tam też i mały Ilko sypiał, ale że się jeszcze gdzieś zawieruszył, więc jeno Szymek sam poszedł. Aliści w stajni patrzy: cosić tam czarnego leży na słomsku. Leży, ta niech tam leży, kiedy się położyło — podumał po swojemu nierozważny parobek, zciągnął bóty i resztę odzienia, i ułożył się w najlepsze do spania. Po niejakim czasie nadchodzi Ilko, widzi takoż, żeć tam coś leży czarnego, ale nic nie mówiący, podobnie jak Szymko wyzuł się z bótów, przewrocił na słomę po drugiej stronie *tego czarnego* i jużci spi jak zabity. Rychło świt budzą się obaj.

— „Szymek! zawołał Ilko, przeciągając się ze snu — nie widziałżeś ty, że tu cosić czarnego leżało wczoraj na słomsku wedle nas?“

— Jakżebym tego nie widział! rzeknie parobek i także się przeciągnie raz i drugi — ale pomyślałem sobie: niech ta!

— „Takci prawie i ja, mówi chłopiec, przecierając sobie oczy — ale widzisz, już ci go nie ma na miejscu!“

— Nie ma? daj go katu! jakiś mi ranny ptaszek... no, no! powiada Szymek i gramolił się powoli z pościeliska. Nagle zakrzyknął: — Ki tam licho! i obzierając się na wszystkie strony: — Czy mię co omamiło — bąkał sobie pod nosem — albom oślepł!... no, widzicie państwo, Jezus Marja! wywołuje coraz to głośniej — taki nie ma!

— „Czego ty szukasz, Szymek?“ pyta Ilko.

— A bótów, moich bótów! dla Boga!! jużci na całe gardło wrzeszczał parobek, przewracając wszystko w koło siebie do góry nogami.

— Ale co znowu — pociesza go chłopiec — muszą być, jeno lepiej poszukaj.

— „Durnyś! przerwie jeszcze goręcej parobek — taże szukam nie co innego... nie ma i nie ma!“

Wtedy Ilka jakby go kto nożem sztychnął pod żebro, tak go naraz zabolało; duchem też skoczył za swojemi bótami — ba, ale zkąd wziąść kiedy ich nie było. Toć nic już nie mówił chłopczysko, jeno się na piękne rozbeczał gdyby za rodzoną matką. I dopiere zrozumieli oni, co tam czarnego leżało na słomie — że to był złodziej niecnota, który ich o taką stratę przyprawił. Boguż jeszcze dziękować, że jaką sztukę bydła nie wyprowadził ze stajni. — Żalić się tu nie było na kogo, owszem jeszcze musieli się wstydzić przed ludźmi, ta że oba nie mieli na tyle rozumu i przezorności, aby się przekonać, kto tam leży w pańskiej stajni, i czy on ma prawo do tego. Tak czyniąc, byliby się zaraz pomiarkowali, że to jakiś człek podejrzany, co się po nocy wciska do cudzej stajni, więc by mu sen jego miły przerwali — i fora ze dwora, nieproszony gościu. A że tego nie uczynili w nierozwadze swojej za to też dostali *dobrą nauczkę.*

Leniwy Piotrek. Pewien kmiotek, idąc ze swoim synem na jarmark do miasteczka, ujrzał leżącą na drodze złamaną podkowę i pokazał synowi, mówiąc żeby ją podniósł i schował. — To niewarto tatulu, odpowiedział leniwy Piotrek. Ojciec więc sam podjął podkowę i schował do sukmanki, a w najbliższej wiosce sprzedał ją kowalowi za cztery grosze, za które kupił wiśni. Kupował zaś tak, aby to syn widział. W dalszej drodze, że upał był wielki i słońce dogrzewało, uczuł Piotrek mocne pragnienie, a że nie było w pobliżu ani studni, ani strumienia, gdzieby je mógł ugasić, omdlewał więc z gorąca. Ojciec to widząc, upuścił jedną wiśnię, niby przypadkiem — a Piotrek podniósł ją i zjadł z chciwością, poczem upuścił ojciec drugą, po którą syn uchylił się również skwapliwie; toż samo zrobił ojciec z trzecią, czwartą i tak dalej, aż do ostatniej, a Piotrek chylał się po każdą wiśnię z osobna, ani pisnąwszy. Kiedy już nie było wiśni, wtedy dopiero ojciec obrócił się do syna i tak przemówił:

— Widzisz mój Piotrze, do czego cię lenistwo przywiodło! gdybyś się był schylił wprzódy po podkowę tylko raz jeden, nie schylałbyś się potem kilkadziesiąt razy po wiśnie,

Boskie pokaranie. Przy końcu przeszłego miesiąca na górnych Węgrach w mieście *Lubjetowie,* uderzył piorun w jedno z tamtejszych domostw, i zabił małego chłopca. Działo się to między godziną czwartą a piątą z rana. Dziwowali się ludzie, bo i było się czemu dziwować — w tak późnej porze roku rzadki to bywa trafunek aby pioruny trzaskały. Ale gdy im bliżsi sąsiedzi tego domostwa opowiedzieli, jacy to byli owi ludzie, co im chłopca piorun ubił: żeć ani do kościoła nie chodzili, ani żadnych świąt nie przestrzegali, ludziska bez czci i wiary, co się jeno ustawicznie między sobą kłócili, a nawet własnym dzieciom nigdy dobrego słowa nie powiedzieli, tylko ci zaraz wyjeżdżali z przekleństwem: A bodaj cię piorun zabił — i tam dalej — to już się

więcej nie dziwowali ludzie temu trafunkowi, ale go wszyscy uznali za *pokaranie Boskie.*

Chłopek filut. Dawne to już temu wieki, kiedy niejaki pan Mikołaj Rej, sławny człek swojego czasu, przyjechał do wsi *Łęk* pod miasteczkiem Krosnem. Ujrzawszy rzeźwego chłopka na drodze, zapyta go:

— Słuchaj-no człeku, a kto tę wieś trzyma?

— Ziemia a płoty, mój jegomościuniu! — odpowiedział filut, skłoniwszy mu się przytem grzecznie do kolan.

— *Rej.* A któż tu panem?

— *Filut.* Ten, co ma najwięcej pieniędzy.

— *Rej.* A któż tu starszym?

— *Filut.* Jest tu baba, co już jej przeszło sto lat.

— *Rej.* A któż tu najwyższy?

— *Filut.* Lipa nad kościołem, co oto ją widać.

— *Rej.* Dalekoż południe?

— *Fliut.* Nieszło tędy miły panie, nie wiem, jak daleko może być.

— *Rej.* Widzi mi się chłopio weźmiesz w gębę.

— *Filut.* Nie wezmę panie, bom nie pies, wolę w rękę jako człowiek.

Tedy pan Mikołaj Rej zmiarkował, że trafił na chłopka filuta. Ale nie rozgniewał się za to, owszem polubił go sobie, bo jak to powiadają: *kruk krukowi oka nie wykole* — a trzeba wiedzieć, że ten pan Rej sam był żartownisiem nielada jakim. Rad też potem opowiadał każdemu o tem swojem spotkaniu, i zawsze serdecznie się z tego uśmiał.

*Pewien zamożny włościanin przez rozpustę i hultajstwo tak podupadł, iż musiał iść za pastucha w tej samej wsi. Jednego razu spotkawszy go dawny przyjaciel, co niejedną kwaterkę z nim wychilił, zapytał się go: — Cóż to Jakóbie, czyście zostali pastuchem?...

— Nie, odpowiedział pierwszy, tak źle nie jest, ja tylko pilnuję, żeby trzoda szkody nie robiła.

Dawne przysłowia.

1. Nie wszystko złoto co się świeci.
2. Na złodzieju czapka gore.
3. Nie mów hoc, aż przeskoczysz.
4. Zuch do klusek, a od kaszy
   I kijem go nie odstraszy.
5. Każdy tam ciągnie, gdzie się ulągnie.
6. Kto się mści, bywa dwa razy bity.
7. Ze stodoły pustej, nie wyleci wróbel tłusty.
8. Dwie gęsi, trzy niewieście,
   Jużci jarmark w mieście.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**